

KATARZYNA
KUCZYŃSKA-KOSCHANY*

ANITA
JARZYNA**

Biblioteka

jako przestrzeń uwewnętrzniona. O *Starym gmachu* Piotra Matywieckiego

Recenzja książki Piotra Matywieckiego, *Stary gmach*,
Warszawa 2016, seria: Biblioteka „Więzi”, t. 326

Pamięci Dawida Kulesza

Jeśli się nie spodziewasz, nie znajdziesz niespodziewanego.
Heraklit¹

A przeto zmarli, a przeto zesli...

Zacniemy od Norwida i wersów z jego dramatu *Krakus*. Są to słowa starca-pustelnika, skierowane do ucznia Liliana:

A przeto zmarli, a przeto zesli
Nie są to jacyś, co ich nie było,
Nie ma, ni może kiedyś być – jeśli

* Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, Wydział Filologii Polskiej i Klasycznej, Instytut Filologii Polskiej, Zakład Badań nad Tradycją Europejską, e-mail: eadem@amu.edu.pl.

** Uniwersytet Łódzki, Wydział Filologiczny, Instytut Filologii Polskiej i Logopedii, Zakład Literatury i Tradycji Romantyzmu, e-mail: anitajarzyna@gmail.com.

¹ P. Matywiecki, *Stary gmach*, Biblioteka „Więzi”, Warszawa 2016, s. 102. Dalej skrót: SG, wszystkie rozstrzelenia w przytoczeniach pochodzą od Autora.

I własną przez nich rozporządzasz siłą.
Rzecz ta wszelako zbyt jest zawila;
Co nie dopowiem, powie mogiła².

Piotr Matywiecki napisał tę książkę o starym gmachu Biblioteki Uniwersyteckiej w Warszawie, jakby wspominał umarłą osobę. Jakby pisał nekrolog. Ale nie taki zwykły, do gazety, lecz na podobieństwo tego napisanego przez Norwida o Chopinie – nekrolog żywy. Po dwustu latach intelektualnej pracy kilku pokoleń i kilkudziesięciu latach osobistej przyjaźni bibliotekarza-poety z tym miejscem ono nagle znika, to znaczy – znika niezupełnie; staje się miejscem-nie-tym, zaledwie architektoniczną skorupą. „Moje wspomnienie – czytamy – jest podwójnie zakorzenione: w Bibliotece i w jej widmie” (SG, 12); i dalej: „Nie ma jej, chociaż dawny gmach stoi” (SG, 13).

O starym budynku pisze leciwy bibliotekarz. Dlatego daje się odczuć tyle czułości wobec samej przestrzeni i osób ją współtworzących. Także czytelników, czytelniczek:

Kiedyś przyszła do czytelnicy licealistka, przyprowadzona przez matkę, która poprosiła dla niej o pozwolenie korzystania z przyrodniczego podręcznego księgozbioru. Dziewczynka spędzała u nas długie godziny, siadywała obok działu biologii. Miała rzadkie nazwisko, które dlatego zapamiętałem: Magdalena Tulli. Kiedy stała się znakomitą pisarką, zapytałem ją, czy pamięta te wizyty – pamiętała, mnie także. I okazało się, że bardzo się wtedy bała bibliotekarzy, bo żeby móc nas odwiedzać, wagarowała! (SG, 27).

(Obie wiemy coś o takiej przyjaźni z bibliotekarzami i bibliotekarkami jako czytelniczki właśnie; kiedy w Poznaniu przenoszono Bibliotekę Raczyńskich z naszego ukochanego starego gmachu przy św. Marcinie do nowego przy alejach Marcinkowskiego, zwłaszcza jedna z nas dość długo nie mogła, nie była w stanie, czytać w tym nowym miejscu, i kiedy wreszcie zaczęła przychodzić do czytelnicy, wszyscy znajomi bibliotekarze mówili, jak się cieszą, że „wróciła”).

Nie wiemy, jak autorowi *Twarzy Tuwima* udało się napisać taki żywy esej po-śmiertny. Książka Matywieckiego jest zbyt smutna, by była gawędą; jest zbyt żywa, by była nekrologiem *tout court*; jest zbyt piękna, by ją po prostu czytać. Można się w niej natomiast do woli zaczytywać. Zaczytanemu, pisze Matywiecki, czas mija niepostrzeżenie. I tak opisuje ten fenomen:

Zaczytanie. Stan umysłu, który będąc w swojej własnej władzy, jednocześnie z tej władzy rezygnuje na rzecz nieomal irracjonalnej wolności. Już u początku polskiej literatury, a zatem i polskiego czytelnictwa, znał ten stan Mikołaj Rej, obserwował go u innych. Napisał w *Zwierzyńcu*: „iż się

² C. Norwid, *Krakus, książkę nieznaną. Tragedia*, [w:] *Pisma wszystkie. Tom 4: Dramaty. Część pierwsza*, wstęp, oprac. J.W. Gomułicki, PIW, Warszawa 1971, s. 167.

tak zaczęła albo zamysła, że i od pamięci odchodzą a omdlewają”. („Zaczęła to archaiczna forma słowa „zaczytają”. [...]).

Zjawisko zaczytania z piękną intuicją ujął w swoim słowniku Samuel Bogumił Linde: „zaczytać się – zapuścić się w czytanie, zapędzić się, zagłębić się w czytaniu, oddać zupełnie czytaniu, utonąć w czytaniu, w książkach” – znamieną jest ta przestrzenna metaforyka aktu nieprzestrzennego! Mój poetycki mistrz, Jan Śpiewak z przenikliwością dziecka pisał kiedyś (w wierszu *Tren*) o jaskini istniejącej w ludzkim umyśle, gdzie „gnieździ się” „usypisko” świadomości, w dziwny sposób uprzestrzennione, chociaż „niewymierne w czasie i przestrzeni”. Wydaje się nam, że nikt tej „jaskini” nie może dostrzec, że jest jedynie mentalna – a przecież w id ziałem ją, kiedy naprzeciw mnie w ciszy bytowały głowy zaczytanych ludzi. Od razu byłem w stanie odróżnić ich od utylitarnie czytających (SG, 20–22).

Opisując ten fenomen, przywołuje Matywiecki pewne formuły. Własne i cudze. I tak też można czytać jego książkę: jest to opowieść osnuta na formułach i fenomenach.

Formuły

Ważne są formuły eksordialne i finalne. Te fundują ten wielki esej³ kompozycyjnie: „Zaczynam książkę tak, jak zaczynałem pracę” (SG, 5), i:

Zaczynałem książkę tak, jak zaczynałem pracę na porannej zmianie. Kończyłem ją tak, jak kończyłem po wieczornym dyżurze. Ostatnią czynnością było wyłączenie dopływu elektryczności do całego gmachu, zabezpieczające przed iskrą, mogącą w nocy spowodować pożar. Wyłączenia dokonywałem, pociągając za obskurną wajchę umieszczoną w skrytce na zewnątrz budynku. Ze wspaniałym zgrzytem i masywnym oporem, jakbym naraz odwrócił milion kart, wyłączałem światło świata, a on tam trwał w ciemności, sam dla nikogo.

I trwa (SG, 229).

Można by powiedzieć, że pomysł Matywieckiego na kompozycję książki o bibliotece (czyli świecie) jest analogiczny do zamysłu kompozycji Biblii (czyli świata). Jak zauważył Northrop Frye w *Wielkim Kodzie*, Biblia rozpoczyna się stworzeniem świata, a kończy jego unicestwieniem, przestrzeń zapisu – od Genesis do Apokalipsy – jest analogonem samego istnienia świata. *Stary gmach*, rzecz o istnieniu i o jego widmie, staje się także codziennym zapisem, trwaniem od porannego krzątania do wieczornego gaszenia światel.

³ Który niejako wypączkował z małego esaju opublikowanego w „Więzi” w listopadzie 2004 roku.

Równie ważne są formuły, przeradzające się w małe narracje, pyszne anegdoty, jak ta o zamykaniu biblioteki:

Zawsze czułem mój podwójny status – bibliotekarza i poety. To mnie zawsze wystawiało na niezwykle przygody.

Pierwsza przydarzyła się na początku mojej pracy. Otóż oznajmiając zbliżającą się porę zamknięcia czytelni, przechadzałem się po salach i z namaszczeniem, głośno kilkakrotnie obwieszczałem: „Proszę państwa, zamykamy!” – bawiło mnie, że w ten sposób cytuję *Ziemię jałową* Eliota i że tylko ja jestem świadom tej mojej literackiej gry. Ale po jakimś czasie natrafiłem na felieton Tadeusza Komendanta w czasopiśmie „Nowy Wyrzaz”. Komendant bawił się w tym felietonie nieświadomością bibliotekarza BUW-u, który swoim „proszę państwa, zamykamy” bezwiednie wchodzi w literacki świat wtajemniczonych. Poczułem się śmiesznie urażony w mojej poetyckiej erudycji (SG, 83–84).

Smaczna – i całkiem zgodna z regułą wypowiedzianą niegdyś przez Jana Gondowicza, iż Warszawę jako miasto odróżnia od innych to, że nie ma tam nic świętego – jest anegdota o znawcy wiedzy genealogicznej, królu herbarzy, wiekowym panu R., który:

Po wyborze Karola Wojtyły na papieża, do głębi przejęty tym historycznym wydarzeniem, postanowił odtworzyć genealogię jego rodu. Do pracy nad tym namówił studentów Wydziału Historii, którzy rozjechali się po Polsce w poszukiwaniu stosownych dokumentów. Po sporządzeniu tej genealogii wysłał ją do Watykanu i otrzymał odręczne pismo z podziękowaniami od papieża. Dla tego starego człowieka była to szczytowa chwila jego życia, co nie przeszkodziło mu mówić z przekąsem: „Pierwszy i ostatni chłopski rodowód, który wywiodłem! Tylko dla Niego!” (SG, 28–29).

Anegdoty są jednak jak cymelia. Najważniejszymi zaś formułami pojawiającymi się w tej niezwyklej książce pozostają wielokrotne próby definiowania pojęcia biblioteki i profesji bibliotekarza.

Bibliotekarz to pielęgniarz czyjegoś zaczytania, szafarz kulturowej uprzejmości, kustosz (etymologicznie: „opiekun”) czytelni (SG, 122–123).

Bibliotekarz to również – powołując się na słownik Lindego – „zawia-dowca księżnicy”. I Matywiecki pyta:

Jak to rozumieć? „Zawiaadywać” to znaczy zarządzać. Ale jest też w tym słowie rdzeń „wiedzy”. Istotnie, zarządzać biblioteką to uczestniczyć w wiedzy, która jest zawarta w książkach, i w jakiś sposób udostępniać, oczyszczać drogi tej wiedzy do czytelników (SG, 115–116).

Bliski jest Matywieckiemu pełen rozmachu maksymalizm Joachima Lelewela z jego *Bibliograficznych ksiąg dwojga*:

Ożywiony filozoficznym światłem bibliotekarz niechaj czuje, że staje pomiędzy ciżbą nauki i uczonych, których wzajemne interesa i spory ma rozpoznać, stać się rozjemcą nieporozumień, wydać stanowcze decyzje i wyroki. Niechże teraz stara się te interesa, te wzajemne między naukami zatargi, rozpoznać i zgłębić; niech przetrzuca encyklopedie, metodologie, propedeutyki każdej z osobna nauki: spotka się w nich z tą walką filozoficznych myśli z historyczną nauką praktyką, w której wyobrażenia o każdej nauce przeczyszczają się (SG, 116).

Przytacza też wspaniałe zdanie Franciszka Sobieszczańskiego z hasła „bibliotekarz” w encyklopedii Orgelbranda:

bibliotekarz musi być wolnym od przesądów politycznych i religijnych i pamiętać na to, że przeznaczeniem jego jest być na usługi publiczności, a szczególnie dla uczonych i uczących się, aby znaleźli w nim żywą bibliotekę i więcej mogli skorzystać z jego obszernej i uprzejmej erudycji, aniżeli z katalogów (SG, 117),

i dodaje z przekonaniem: „Nic tej myśli nie może zdezaktualizować” (SG, 117).

Imaginarium

Piotr Matywiecki wielokrotnie cytuje Borgesa, przywołuje – rzecz jasna – jego *Bibliotekę Babel* w rozmaitych kontekstach, by ostatecznie jednak zdystansować się od tego opowiadania: „Borges obcował raczej z platońską ideą biblioteki, a nie z realną instytucją” (SG, 139), „Biblioteka Babel jest rusztem suchej abstrakcji, wypełniają ją nie tyle książki, co ich wyabstrahowane idee” (SG, 146).

Niemniej *Stary gmach* jest zwornikiem literackiego mitu biblioteki, a szerzej: całej mitologii czytania, znanych, choć w książce niekoniecznie bezpośrednio przywoływanych, wyobrażeń, rozmaicie przetwarzanych, re-interpretowanych. Matywiecki uwierzytelnia je wszystkie.

Co było najważniejsze w dawnej czytelnicy? Przede wszystkim ta dziwna, ogromna, powietrzna sala tworząca wspólną przestrzeń z wnętrzem książek i z przestworem wielu umysłów czytających książki. Tego doświadczenia mógł doznać tylko ktoś przez wiele, wiele lat żyjący taką mieszaną, a przecież jednorodną przestrzenią. Teatr rozmaitych czytelnicych nawyków – bo każdy innym gestem odwraca kartki, każdy inaczej celebrytuje zamyślenie – ma w tej przestrzeni tę samą aurę, którą oddał Stanisław Wyspiański „w duszy teatrze” (SG, 18).

Oto na przykład – zamierzony lub nie – pogłos *Maltego* Rainera Marii Rilkego, niezapomnianego opisu czytelnicy z paryskiej Biblioteki Narodowej.

Przede wszystkim Matywiecki z upodobaniem uprawia antropologię czytelnictwa – opisuje rozmaite rytuały, sposoby wchodzenia i wychodzenia

„klientów” z biblioteki, przywiązanie stałych bywalców do stałych miejsc w czytelni („Codziennie od nowa trzeba było rano wziąć to miejsce w posiadanie” – SG, 40), charakterystyczny dla każdego z nich zwyczaj układania książek na biurku („[z] wnętrza zaczytanych głów myśl przenosiła na zewnątrz swoją architektonikę” – SG, 41); tego rodzaju rozpoznania przypominają trochę typologie tworzone przez Italo Calvino w *Jeśli zimową nocą podróżny*, szczególnie w jednym z ostatnich fragmentów powieści, którego akcja toczy w bibliotece, a czytelnicy zwierają się sobie z lekturowych przyzwyczajzeń: ktoś wciąż błądzi wzrokiem, przeszedłszy zaledwie parę linijek, ktoś inny w każdej książce poszukuje księgi przeczytanej w dzieciństwie, ktoś celebrytuje chwilę poprzedzającą lekturę⁴. A Matywiecki, z jednej strony, odróżnia czytelników (studentów, uczonych, bibliotecznych wariatów) od zaczytanych, z drugiej strony, opisuje swoistą głębię aktu lektury pokrewną właściwie wszystkim wymienionym przez włoskiego prozaika:

Cztery są stadia czasu przeżywanego przy twórczej lekturze. Pierwszy to samo czytanie – nigdy jednak nie samo, bo zawsze łączy się z myśleniem, o tym, co przed oczami, na stronicy. Drugie stadium to myślenie niejako autonomiczne, w pewnym oderwaniu od czytanego tekstu – oderwaniu fizycznym, przy zamkniętych już okładkach, albo mentalnym, gdy czytanie staje się czynnością bezwiedną, spojrzenie niby to wędruje po druku, ale „spojrzenie duszy” przerywa lekturę i błądzi w nieokreślonych refleksjach. Jest wreszcie, nie zawsze zjawiający się, czas myśli zapisanej – notatek czynionych w trakcie albo po lekturze, w ścisłym z nią związku komentatorskim. I czas myśli jakby odłożonej i przechowywanej w przeczytanej i odłożonej książce, czas zawsze gotowy do zainicjowania nowej lektury albo do najdziwniejszego czytania: nie samej książki, ale mojej własnej myśli o książce (SG, 18–19).

Gdzie indziej Matywiecki konstatuje: „Czytałem ich czytanie! To był specjalny rodzaj zaciekawienia: co ten człowiek czyta!” (SG, 114).

Jednak przede wszystkim w *Starym gmachu* stara się opowiedzieć o szczególnym rezonansie między aktami lektury a przestrzenią, w jakiej miały miejsce:

Wielka biblioteka jest miejscem rytualnym; mówi się: „korzystam z biblioteki” – ale to nie cała prawda – korzystając z biblioteki, odprawia się w niej rytuał. To znaczy, że równie ważne jak książki darzące nas znaczeniami są formy przyjmowania tego daru, lekturowe obyczaje, rozmaite „towarzystwo” ludzi i sprzętów, które lekturę otaczają, wytwarzające się podczas tego gesty fizyczne i mentalne. A nawet to, co przy lekturze rozprasza, co

⁴ I. Calvino, *Jeśli zimową nocą podróżny*, przeł. A. Wasilewska, PIW, Warszawa 1989, s. 254–256.

jej przeszkadza – każdą bibliotekę wypełnia inny szmer; nie ma czegoś takiego, jak „biblioteczna cisza”.

Jest taki termin akustyczny „biały szum”. Powstaje, kiedy mieszają się ze sobą wyraziste głosy i nieartykułowane szmery, tworząc dźwiękowe wszechogarniające tło. Otóż podobne tło bibliotecznych lektur tworzą przypadkowe teksty, na które natrafiają oczy kogoś, kto przyszedł z zamiarem czytania jakiejś określonej książki czy artykułu w czasopiśmie. Do tego tła należą też przelotne rozmowy z sąsiadami w czytelnicy, z bibliotekarzami i widoki, na które natrafia zmęczone spojrzenie, gdy odrywa się od zadrukowanych stron. Czyta się zadany sobie tekst – i razem z nim ciekawie albo mimochodem obserwuje się świat dookoła. Kiedy opuszcza się czytelnicy, w głowie reminiscencje lektury nie dają się łatwo oddzielić od jej okoliczności (SG, 210–211).

W książce Matywieckiego, nie licząc pierwszej strony okładki, znajduje się osiem fotografii, to niewiele; wszystkie wykonała Anna Bohdziewicz w 1981 roku i wszystkie „miały dokumentować zły stan gmachu, żeby skuteczniej strać się o budowę nowej siedziby” (SG, 228), toteż gest zamieszczenia ich w tej książce jest szczególnie nacechowany. „Są to zdjęcia znakomite, bo bezpretensjonalne” – tłumaczy autor i traktuje je na prawach wyjątku, ponieważ zasadniczo jednak dystansuje się od takiej formy upamiętniania:

Stary gmach chcę mieć zachowany tylko w pamięci, bez wspomaganie się fotografiami, chociaż oczywiście co pewien czas napotykałam w dawnych gazetach ciekawe fotografie jego pomieszczeń.

Fotografia unieruchamia i czyni z sal bibliotecznych i magazynów rodzaj bezludnej makiety, nawet kiedy ludzkie figurki są w niej rozmieszczone. A miejsce zetknięcia się ludzi z książkami jest może najruchliwsze ze wszystkiego. Nie ma nic szybszego od pobudzonej myśli! (SG, 227)

Te akapity należą do ostatnich w książce. Z kolei w jednym z jej pierwszych fragmentów Matywiecki zdradza:

pisząc teraz o Bibliotece, obcuje także z jej widmem. Nie ma jej, chociaż dawny gmach stoi. Tym bardziej mnie w niej nie ma. Jeśli piszę się również dla siebie samego, to ja stawiam te litery po to, żeby grawitacja milionów woluminów wskreszyła tamto miejsce i mnie w jego czytelnicy i magazynach (SG, 13).

(I może dlatego ostatecznie trudno te refleksje spokrewnić z nadto w porównaniu z nimi wykoncypowanymi, tylko pozornie narzucającymi się w tym kontekście, przemyśleniami Umberta Eco o bibliotece).

Itinerarium, kalendarium

W pewnym momencie Matywiecki przywołuje dawną zasadę obowiązującą architektów projektujących budynki biblioteczne, mówiła ona, iż „drogi bibliotekarza, książki i czytelnika nie mogą się krzyżować” (SG, 217) – w swoim eseju tak, jak wcześniej w swojej praktyce, konsekwentnie zaprzecza tej regule. „Stary gmach” jako miejsce i jako książkę określa właśnie przecinanie się tych trzech duktów – tyleż w przestrzeni wewnętrznej, imaginacyjnej, co zewnętrznej, wszak bibliotekarz, będąc zawiadowcą księgozbioru, dba również o szczególną cyrkulację myśli i relacji międzyludzkich.

Matywiecki pisze, jakby oprowadzał po budynku, wtajemniczając w miejsca niedostępne „klientom” – jak chętnie nazywa czytelników. Więc nie tylko opowiada o funkcjonowaniu wypożyczalni i charakteryzuje swoistość każdej z czytelni, każdego tematycznego zaułka; ale też wejściem dla pracowników wprowadza do katalogu „hodowanego jak żywa istota” (SG, 135), traktowanego niczym osobne nad-dzieło, nad-księga, zazdrośnie strzeżonego przez układających go specjalistów; wreszcie umożliwia również wgląd do najbardziej tajemniczych bibliotecznych przestrzeni – magazynów: „[k]iedy podchodziłem do jakiegoś fragmentu tego gigantycznego bloku papieru, żeby wyjąć wolumin [...], było to tak, jakby odłupywało się cząstkę skały” (SG, 141). Snuta w ten sposób opowieść niejako naturalnie przechodzi w katalog twarzy: Matywiecki tworzy mikroportrety czytelników, którzy zapisali się w jego pamięci, których stała, regularna obecność w gmachu decydowała o jego swoistości, i zaraz kreśli też analogiczną galerię „służby bibliotecznej” – poszczególnych osób oraz działów, w jakich pracowali.

Osobnym wariantem tak konstruowanego przewodnika po „starym gmachu” jest „prywatny i sakralny księgozbiór w księgozbiórze” (SG, 29) – sporządzony przez Matywieckiego, rozproszony na przestrzeni całego eseju wykaz książek ważnych dla autora, takich, których obecność w BUW-ie warto z jakiegoś powodu odnotować: między innymi niecodziennych, często nieukończonych, monumentalnych wielotomowych publikacji – leksykonów czy słowników, także dziewiętnastowiecznych „summ świata” (wymienia je, podając sygnatury). Do najciekawszych źródeł (może po prostu najciekawiej opisanych) należy opracowana przez Andrzeja Tyszkę czterotomowa księga nekrologów drukowanych w „Kurierze Warszawskim” w latach 1821–1861. I w ten sposób objawia się dyskretnie autobiograficzny wymiar *Starego gmachu*, oto Piotr Matywiecki ukazuje zaplecze swojej rozległej wiedzy, swoiście spokrewnionej z erudycją Juliana Tuwima, kierującej się bezinteresowną z reguły ciekawością, z jednej strony pewnym upodobaniem do kuriozów, z drugiej – słabością i szacunkiem do dzieł niemożliwych, wszelkich „zamachów” na całość. Matywiecki wierzy, że nie ma lektur przypadkowych, że warto poświęcać całą uwagę zagadnieniu, które kiedyś zainteresowało kogoś na tyle, że zaowocowało książką czy artykułem. I warto przy tym robić notatki:

Prowadziłem własną, prywatną bibliografię zawartości czasopism. Liczy kilka tysięcy pozycji. Teraz czytam ją jak poemat pamięci i świadectwo dawnych zaciekawień, przebieram w zanotowanych tytułach jak w ziarnach, które w każdej chwili mogą rozwinąć się, i często się rozwijają, w wiersz albo esej (SG, 60).

Wielokrotnie podkreśla, że „istnieje naturalna egzotyczność lektur bibliotecznych” (SG, 226), że książki wyjęte, odłączone od tego macierzystego zbioru, zdają się swoiście wykorzenione, bezdomne:

Kiedy już przestałem pracować w Bibliotece, niektóre książki z tego zbioru kupiłem do mojej prywatnej kolekcji. I wtedy mogłem doświadczyć przemijającego wrażenia: chociaż miałem je w domu, a więc w najbardziej intymnym posiadaniu, оголоcone z tamtej przestrzeni wiele traciły ze swojej symbolicznej aury, a nawet wydawało mi się, że zubożyły swoją treść o całą czytelnianą magię. Jakby usytuowanie w przestrzeni należało do ich treściowego przesłania! (SG, 32)

Wreszcie w swojej opowieści na porządek przestrzenny nakłada Matywiecki porządek czasowy, osobne partie książki poświęca dziejom biblioteki, referuje je dość szczegółowo, przekonany, że „[b]iblioteka na dziedzińcu przefruwała przez stulecie swojej historii i o tę historię się raniła. A razem z nią raniły się inne stulecia i tysiąclecia zawarte w jej książkach” (SG, 34).

Matywiecki pisał swoje dzieło z pamięci i dla pamięci, a także, by móc krążyć w widmowej przestrzeni i w czasie w niej zdeponowanym.

Dzisiaj mam jedno marzenie: mieć nieskończony czas błakania się między czasopismami i książkami, zagładania to tu, to tam, nie wiadomo po co, zagadywania do innych tak się błakających. Czy to mógłby być raj? (SG, 113)

Fenomeny

O fenomenie zaczytania już pisaliśmy na początku, gdyż jest on dla Matywieckiego-bibliotekarza fundamentalny.

Równie ważny okazuje się, zwłaszcza z perspektywy utraty, czyli (w głębokim sensie – niemożliwych) przenosin na Powiśle, fenomen miejsca. Matywiecki pisze o nim stylem wysokim, lecz konkretnie, dramatycznie i z czułością, definiując miejsce i deklarując intelektualną wolność. To jeden z najpiękniejszych, najbardziej (auto)refleksyjnych fragmentów książki:

Co to za miejsce, Biblioteka? – To jest miejsce utrwalenia i miejsce kontynuacji. Ale także miejsce wzburzonego czasu. I miejsce uspokojenia.

Godzi się odpowiedzieć na pytanie o naturę miejsca zwanego Biblioteką kilkoma uwagami wziętymi z Biblioteki jako zbioru sentencjonalnych wypowiedzi.

„Największą z rzeczy istniejących jest miejsce; wszystko bowiem w sobie mieści” – tak powiedział Tales. Biblioteka jest takim właśnie omnimiejcem wszystkich miejsc. Powiedzeniu Talesa można nadać następujący sens: nie istnieje kulturowo-materialne „wszystko”, jeśli nie ma ono swojego „miejsca”, „biblioteki” swoich umiejscowionych znaczeń. Nie wystarczy dzisiejsze internetowe rozproszenie – wyobraźnia i inne władze umysłu pożądamy miejsca. I to miejsca nie tylko symbolicznego. Trzeba być gdzieś, tylko z konkretnego umiejscowienia ma się dostęp do kulturowej powszechności.

Tego właśnie zaznałem, pracując tu, a nie gdzie indziej, w Bibliotece na Krakowskim Przedmieściu, na dziedzińcu Uniwersytetu, w Warszawie. Tu skupiają się i stąd się rozchodzą drogi mojej wiedzy i wyobraźni, tu zawiązuje się i rozwiązuje moja pamięć ludzi. Wszystko, co przeszłe, terazniejsze i przyszłe, ma tutaj mój dom. Wiem, że dla wielu osób to miejsce także jest domem ich świadomości (SG, 32–33).

I dalej, w domknięciu, swego rodzaju upominaniu się o *conditio sine qua non* imaginarium zbiorowego:

Biblioteka jest fizycznie ograniczonym miejscem, pojemnikiem na papier. I jednocześnie ma możliwość nieskończonego rozprzestrzeniania się w świecie duchowym. Dla każdego czytającego jest emblematycznym obrazem aforyzmu Heraklita: „Dusza zawiera logos powiększający siebie samego”. Biblioteka jest powiększającą się bezustannie duszą społeczeństwa (SG, 35).

Stary bibliotekarz doświadcza, „jak bardzo biblioteka jest miejscem” i jak dojmująca jest „utrata pewności miejsca” (SG, 47). Stąd zapewne szczególna pochwała starego BUW-u, a gorzka, konstruktywna krytyka biblioteki na Powiślu:

Może należy zaryzykować twierdzenie, że stary gmach był architektoniczną okładką dla omniksięgi zamkniętego, uładzonego cywilizacyjnie XIX wieku? Jeśli tak, to dla mnie i dla mojego pokolenia Biblioteka Uniwersytecka w Warszawie była symbolicznym uobecnieniem XIX wieku... Ale także wszystkich innych stuleci ludzkiej kultury.

Stary gmach miał w sobie naturalną siłę symbolizacyjną, przemożną, ale nie natrętną. Jakże mnie irytuje jakby z zewnątrz naniesiona symbolika fasady nowej biblioteki na Powiślu! Jej wnętrze jest znakomite, zakamarkowe i przestronne, ale te szacowne cytaty wbite różnymi alfabetami we fronton budynku są czymś naiwnym, infantylnym i natrętnym (SG, 52–53).

Biblioteka, każda biblioteka, potencjalnie mieści się w formule nie-miejsca, jak opisuje je Marc Augé, to przestrzeń tranzytowa, przechodnia, służąca celom wyłącznie użytecznym, w której nie sposób się zdomowić. Wysiłek Matywieckiego w znacznej mierze polega właśnie na tym, by ukazać fenomen starego gmachu BUW-u – miejsca zasiedlonego, oswojonego przez czytelników i pracowników, toteż kiedy odnosi się do niego, słowo „biblioteka” konsekwentnie zapisuje wielką literą.

Chociaż wiele odwiedzam bibliotek, nigdy już nie wejdę do Biblioteki. Dla mnie była tylko ta jedna: na dziedzińcu Uniwersytetu Warszawskiego, przestała istnieć na początku XXI wieku. Wszystkie inne, wielkie i małe, tradycyjne i internetowe istnieją dla mnie jako cienie, a raczej jako labiryntowe odnogi tamtej jedynej. Ona je pochłonęła (SG, 224).

Nie-miejscem natomiast okazuje się nowy gmach, także z perspektywy jego pracowników:

Pani Wanda Kronman, moja mistrzyni w bibliotekarskim fachu, pytana o to, jak zmieniła się Biblioteka po przenosinach do nowego gmachu, powiedziała mi, że w pełni akceptuje komputeryzację. Ale przeraża ją, że BUW stał się „firmą”. Już nie można go nazwać „drugim domem”. Nastąpiło „odpersonalizowanie”. Przychodzi się do pracy – i odchodzi bez śladu po „służbowych” godzinach... Brakuje jej osobowego stosunku do czytelnika. I dała przejmujący przykład. Otóż kiedy rzadko zdarza się jej – bo jest już emerytką – mieć zastępstwo w czytelni i kiedy pyta czytelnika nie o numer jego karty, a o to, jakie książki odłożył do dalszego czytania, bo tak łatwiej jest je odnaleźć, spotyka się z ogromnym zdumieniem. Jak to książki są ważne, a nie numer?!

Otóż to (SG, 222-223).

Gdzie indziej z całą ostrością diagnozuje Matywiecki sedno zmiany, której przeprowadzka stała się w istocie jedynym z symptomów, zmiany (oswojonego) miejsca „egzystencjalnie istotnego” w (modne) nie-miejsce „namiastkowej egzystencji”, zmiany związanej z dominującym, nawet w środowisku uniwersyteckim, raczej użytecznym stosunkiem do książki, z zanikaniem kultury „długiego tekstu” na rzecz „kultury streszczania”, z zacierającym się rozumieniem filologii jako „nauki (i praktyki) wolnego czytania”.

Nie wiem, czy te nowe sale na Powiślu zjednoczą kiedyś obie przestrzenie – realną i mentalną. Może w przyszłości, może czas będzie katalizatorem tego połączenia. **Na razie wielu tu czytających, mało zaczytanych** (SG, 106, podkr. K.K.K., A.J.).

Tym samym, odróżniając te dwie przestrzenie, Matywiecki upomina się o kulturę książki, etos inteligenta, który w żaden sposób nie przekłada się na popularny „buwing”, zwyczaj bywania (czy raczej – pokazywania się) w gmachu na Powiślu („[b]rzmie w tej nazwie nie tylko kaleka angielszczyzna, ale i coś bardziej nieznośnego, jakby temu, co w dawnej bibliotece było intymnym zadomawianiem się, nadawano komercyjną etykietkę, obyczajową oficjalizację” – SG, 68), mówi o potrzebie anachroniczności, ale też o konieczności twórczego konfrontowania tradycyjnie pojmowanego bibliekarstwa z jego aktualnym modelem, jest przekonany, że tylko takie – pozornie straceńcze – „zderzenie odnawia stare sensy i przynosi nowe” (SG, 147).

Biblioteka (stosując znane twierdzenie McLuhana) nie tylko przekazuje, nie tylko biernie uczestniczy w krążeniu i udostępnianiu przekazów – BIBLIOTEKA SAMA JEST PRZEKAZEM swoistej, jedynej w swoim rodzaju kultury: obyczaj, aury intelektualnej, swoistego stylu pracy umysłowej. Nie można roli Biblioteki sprowadzić do roli centrum informacji, centrum informatycznego.

Chyba że wytworzy się zupełnie inne pojęcie informacji, pojęcie z natury nieczyste, bogatsze od funkcjonującego w informatyce i w tym, co nazywa się obecnie „informacją biblioteczną” (SG, 216).

Można owszem – jak Henryk Hollender, były dyrektor biblioteki – polemizować z Matywieckim (który odważnie przywołuje tę krytykę i odpowiada na nią), zarzucać mu nieracjonalny sentymentalizm, staroświeckie postrzeganie pracy bibliekarza oraz jego roli, ale nawet jeśli pewne zmiany są nieodzowne, nie powinny one w stopniu tak dojmującym rzutować na sposób obcowania z książkami – przed tym właśnie przestrzega autor *Zdartych okładek*. Ponadto warto podkreślić, że choć Matywiecki kreśli zmitolizowany obraz dawnego BUW-u, jednocześnie zupełnie trzeźwo szuka takiej formuły funkcjonowania biblioteki, która będzie odpowiedzią na współczesne potrzeby, konieczność wprowadzania innowacji, a zarazem uniknie podporządkowania jej technokratycznemu modelowi.

Jeżeli nasz świat będzie się stawał informatyczną wszechbiblioteką, to żeby mógł się stać omniświadością, potrzebne mu będą osoby wyczuwające i świadomie zmieniające wymiary myśli i kierunki wrażliwości nurtujące w tej wszechbibliotece. Mogliby to być bardziej kompetentni od innych biorcy i dawcy nie tyle informacji, co idei sterujących informacjami, idei krążących w świecie informacji, przetwarzających ten świat w świadomość. Idei niejako bezinteresownych, wolnych od ideologii.

Wyobrażam sobie takich właśnie bibliekarzy przyszłości, chciałbym, aby ich zawód i powołanie tak się przekształciły – być może trzeba im będzie wtedy nadać nową nazwę (SG, 148).

Koniec końców przekonuje Matywiecki, że można przenieść księgozbiór, ale *genius loci* (w tym przypadku przedziwnie spokrewniony z duchem czasu) nie przeprowadzi się wraz z nim. I równocześnie nie pozostanie w „wypatroszonym z książek” budynku.

Biblioteka nie tylko „była w tym miejscu”, na dziedzińcu przy Krakowskim Przedmieściu – ona była tym miejscem! Przeniesiono na Powiśle ten sam księgozbiór – a jednak to jest istotowo inna Biblioteka (SG, 42).

Wstrząsy

W bibliotece kupuje się książki. Wśród ofert sprzedaży zdarzały się wstrząsające dla każdego wrażliwego czytelnika, ale zwłaszcza dla bibliotekarza, który urodził się w Warszawie w czerwcu 1943 roku po tak zwanej aryjskiej stronie, uratowany z getta:

Pamiętam pewnego pana, który przyniósł do sprzedaży książkowy kalendarz z czasów okupacji hitlerowskiej, z 1943 roku – roku powstania w Getcie Warszawskim, zakupiony zresztą przez dział akcesji. Jego przeglądanie było dla mnie ciężkim przeżyciem. Dzielne daty w tym kalendarzu opatrzone były przez wydawcę brutalnymi antysemickimi notami. Poczulem nieomal fizyczny atak na siebie, na podstawie mojego jestestwa – był to przecież rok mojego urodzenia (SG, 17-18).

Matywiecki odnotowuje też wstrząsy silne, lecz pozytywne. Tak zdarzyło się, gdy odnalazł cymelium: wydanie *Trzech zim* Czesława Miłosza z *ex librisem* Krzysztofa Kamila Baczyńskiego.

Deklaracje niepodległości imaginacyjnej bibliotekarza

Pierwsza:

Tak, moja wymarzona biblioteka jest bytem anachronicznym. Bo przyszłość wymaga anachronizmu. Tego właśnie chcę (SG, 147).

Druga:

Biblioteka jest najdłuższym zdaniem ludzkiej mowy, najbardziej rozwiniętym składniowo, jest połączeniem wszystkich zdań w jedno nad-zdanie. Zamówiony czytelnik biblioteki chce być i bywa częścią tego zdania (SG, 215).

Trzecia:

Ta triada była *sacrum* mojego bibliotecznego życia: lektura, rozmowa, twarz (SG, 122).

„Przepis na powieść warszawską”

Tytuł późnego wiersza Norwida, sam tytuł – warto podkreślić – „rymuje się” z tytułem również stosunkowo późnego utworu Matywieckiego – *Marzenie o powieści* – gdzie w drugiej najobszerniejszej części autor zapisuje w poetyckim skrócie prześladowającą go przez całe życie ideę wielkiej formy epickiej, niemalże organicznie zrosniętej z jego rodzinnym miastem:

Niech miasto zgęstnieje, niech wreszcie ludzie
wrosną w kamienie, chcę, żeby brodzili w niskich niepokodach
a suchymi chmurami klekotali w myślach, jakiś pokarm
powinien ich skupić przy stołach, dobry, jednoznaczny,
a głód rozpraszać w samotnościach, ale ciasno,
na zapas, na dobrobyt. Niech będą architektury
kościste, anegdoty w nich jak serca w żebrach.
I ten, kto przejdzie się ulicą, będzie jutro wiedział,
że wczorajszy dzień zmienił się w całe jego życie,
choć życie nie zmienił. Nikt za nim nie pójdzie,
bo już obie strony Nowego Świata zbliżą się do siebie
i nikogo nie przepuszczą⁵.

W *Starym gmachu* to marzenie spełnia się na swój sposób, bo sam „stary gmach” jest poniekąd tego marzenia urzeczywistnieniem:

Co wynika z nazwy Biblioteka Uniwersytecka w Warszawie? Chodzi o rodzaj zakorzenienia Biblioteki w mieście. Dzięki Bibliotece to jest Uniwersytet otwarty na miasto i jednocześnie skupiony w mieście. Otwartość i skupienie – oto duchowe funkcje Biblioteki! (SG, 216)

Zatem pisząc o dotychczasowej siedzibie Biblioteki Uniwersyteckiej w Warszawie, nakreślił Matywiecki, zawołany *varsawianista*, swoją „powieść warszawską”, wysnuł ją z końca XIX wieku i przeprowadził przez całe dwudzieste stulecie. Opowiedział o budynku („gmach Biblioteki Uniwersyteckiej jest niejako sam w sobie biblioteką warszawskiego budownictwa” – SG, 155), który, wbrew prawdopodobieństwu, ocalał wśród zgliszcz miasta po drugiej wojnie światowej, i opowiedział o instytucji, która przetrwała kolejne kryzysy polityczne, która była jednym z ważniejszych ośrodków opozycyjnych; nakreślił portrety bohaterów, oryginałów – pracowników i czytelników, postaci dziwaczných i heroicznych. Wreszcie – biblioteka, szczególnie ta konkretna Biblioteka przy Krakowskim Przedmieściu i jej los, okazała się soczewką pewnego paradygmatu kulturowego z kluczowym dla niego etosem inteligenckim:

⁵ P. Matywiecki, *Marzenie o powieści*, [w:] *Zdarte okładki (1965–2009)*, Biuro Literackie, Wrocław 2009, s. 661.

biblioteczna kultura książki jest kulturą nawiązywania, a nie tylko kołażowego zestawiania tego, co dawne, z tym, co nowe [...]. Nawiązywanie wymaga specjalnej, wyrafinowanej międzyksiążkowej i międzykulturowej składni. Taka składnia czasu jest jedynym ładem w bibliotecznym chaosie wszelakich testów i nieskończenie zróżnicowanych lektur. Biblioteka wypracowuje taką właśnie składnię – czytelnicy i bibliotekarze są słowami tej składni, a biblioteka ogromny, wszechobejmującym zdaniem (SG, 213).

W ten sposób Matywiecki znalazł alternatywę dla Balzakovskiego „przepisu” na powieść, francuski prozaik głosił – do czego później nawiązał Georges Perec w *Życiu. Instrukcji obsługi* – iż paryskie kamienice wystarczają za najlepszą materię literacką. Analogicznie autor *Starego gmachu* w pewnym momencie wprost wskazuje na przenikającą bibliotekę atmosferę wielowątkowej, wartkiej „powieści życia”:

cały czas oddziaływały na naszą grupkę [pracowników BUW-u – przyp. K.K.K., A.J.] dwa tła, na których wiedliśmy bibliotekarski żywot: zróżnicowana, przelatująca nam przez ręce, przez oczy i przez umysły masa druku oraz tłum czytelników, z którego każde z nas wylapywało dla siebie znajomości i nawet przyjaźnie. Trudno sobie wyobrazić mniej rutynowe zajęcie niż taka praca! **Czułem się jak w środku fabularnego wiru jakież zwiariowanej awangardowej powieści.** Zaprzeczenie stereotypu bibliotekarza jako zasuszonego osobnika (SG, 120, podkr. K.K.K., A.J.).

BIBLIOGRAFIA

- Calvino I., *Jeśli zimową nocą podróżny*, przeł. A. Wasilewska, PIW, Warszawa 1989.
- Frye N., *Wielki Kod: Biblia i literatura*, przeł. A. Fulińska, przekł. przejrzał i wstępem opatrzył M.P. Markowski, Homini, Bydgoszcz 1998.
- Matywiecki P., *Stary gmach*, Warszawa 2016, seria: Biblioteka „Więzi”, t. 326.
- Matywiecki P., *Zdarte okładki (1965–2009)*, Biuro Literackie, Wrocław 2009.
- Norwid C.K., *Krakus, książkę nieznaną. Tragedia*, [w:] *Pisma wszystkie. T. 4: Dramaty. Część pierwsza*, wstęp, oprac. J.W. Gomulicki, PIW, Warszawa 1971.

STRESZCZENIE

Szkic jest wielokontekstowym omówieniem wspomnieniowego eseju Piotra Matywieckiego pt. *Stary gmach* (Warszawa 2016). Katarzyna Kuczyńska-Koschany i Anita Jarzyna nie tylko zwracają uwagę na biograficzny wymiar tekstu poświęconego fenomenowi dawnej siedziby Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie przez lata pracował autor – rozpoznawalny współczesny poeta i warszawianista, ale również koncentrują się na innym, bardziej uniwersalnym aspekcie tych rozważań będących opowieścią o odchodzeniu pewnej formacji intelektualnej – o inteligenckim etosie i jego *genius loci* na mapie stolicy. Recenzentki podkreślają przy tym i tematyzują kluczowe znaczenie formy eseistycznej sprzyjającej erudycyjnym dygresjom oraz kompozycji książki w znacznej mierze podporządkowanej logice opisywanej przestrzeni i jej widmowym powidokom.

Słowa kluczowe

esej, Piotr Matywiecki, inteligencja, biblioteka

SUMMARY

The Library as an Interiorised Space. On *Old Edifice* by Piotr Matywiecki

The study is a multi-contextual review of the recollective essay by Piotr Matywiecki, entitled *Old Edifice* (*Stary Gmach*, Warsaw 2016). Not only do Katarzyna Kuczyńska-Koschany and Anita Jarzyna discuss the biographical dimension of the text devoted to the former premises of the Library of the University of Warsaw, where the author – a recognised poet and expert on Warsaw – worked for many years, but they also focus on another, more universal aspect of his deliberations, which tell a story about the departure of a certain intellectual generation – about an intellectual ethos and its *genius loci* on the map of Warsaw. At the same time, the reviewers emphasise and thematise the essential meaning of the essayistic form which favours erudite digressions and the composition of the book that is, to a great extent, subordinated to the logic of the depicted space and its spectral afterimages.

Keywords

essay, Piotr Matywiecki, intelligentsia, library